

Agnieszka Kołakowska: Bardzo krótkie aporetyczne rozważania na ogromny temat

Jedną z najważniejszych i najskuteczniejszych broni w walce z nimi jest - powtarzam to niestrudzenie po raz enty - przypomnienie o biblijnych korzeniach naszej kultury - przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Kryzys Europa tekst Agnieszki Kołakowskiej.

Zaryzykuję śmiało twierdzenie, że Europa już w XVIII wieku zaczęła swoją tożsamość tracić. Wydaje się, gdy człowiek sięga pamięcią wstecz, że mniej więcej do drugiej wojny światowej byliśmy wszyscy jako tako zdomowieni w tym starym, dziś rozpadającym się i zaniedbanym europejskim judeochrześcijańskim domu o fundamentach sięgających trzech tysięcy lat. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że dopiero po wojnie wszystko zaczęło się psuć - po czym zepsuło się ostatecznie z przyjściem Unii Europejskiej, rozprzestrzeniającą tylko pustkę i nic z Europą, z europejskimi wartościami ani z europejską kulturą nie mającą wspólnego. Gdy jednak, stojąc wśród tego domu ruin, zastanawiamy się, w której chwili i wskutek czego zaczął się proces rozkładu, możemy dojść do wniosku, że zaczął się on dobre kilka wieków wcześniej. (Czy to przypadek, że mniej więcej z rewolucją francuską? Raczej nie.) Możemy też dojść do wniosku, że tożsamość europejska była czymś bardzo krótkotrwałym lub zgoła chimerycznym. Wniosek ten, zależnie, od której strony na niego się patrzy, może wydawać się pocieszający (nic nie straciliśmy) albo, przeciwnie, głęboko przygnębiający (nie można odbudować czegoś, czego nigdy nie było; nie mamy na czym się oprzeć).

Pod względem podstawowych wartości był to nasz wspólny dom: katolików, żydów i protestantów, wierzących i niewierzących, liberałów i konserwatystów. Odnajdywaliśmy się w nim i wbrew wszelkim różnicom mieliśmy wspólny język. Jego fundamentami były Biblia, kultura grecka i prawo rzymskie: Ateny, Rzym, Jerozolima. Kolejnym ważnym fundamentem, wyrastającym z tych poprzednich ale nie tożsamym z nimi, był Renesans; kultura Renesansu, humanizm Renesansu. Tak się wydaje. Ale czy naprawdę tak było?

To, że odnajdywaliśmy się, może aż do wojny, w pewnej wspólnocie wartości, nie znaczy jeszcze, że przetrwała w nas silna świadomość znaczenia Europy jako idei. Można rozważyć tezę, czy ostatnią epoką, w której świadomość tego znaczenia, i silna świadomość europejskiej tożsamości, naprawdę żyła, nie była aby tak zwana *Respublica Literaria* - Republika Listów. Innymi słowy, epoka, która zaczęła się już pod koniec XV wieku, z Renesansem - a konkretniej może z humanizmem renesansowym, którego najsłynniejszym przedstawicielem był Pico della Mirandola, w XV wieku, a po nim Erazm - i która rozkwitła w XVI a zwłaszcza w XVII wieku, z (wczesnym) oświeceniem.

Epoka zwana Republiką Listów, a ściślej nie tyle epoka co intelektualny klimat, urzeczywistniona przez pewien czas metafizyczna idea Europy, była niepowtórzonym od tego czasu okresem współpracy i wymiany idei uczonych poza cenzurą i ponad granicami państw, w szacunku dla nauki i dla wolności słowa. (Warto na marginesie zauważyć, iż nikt wtedy nie twierdził, że istnienie państw narodowych jest w jakiś sposób sprzeczne z tą współpracą ani z tożsamością europejską.) Republika listów była demokracją; kwitła w niej wolność słowa i swobodna krytyka idei. Najbardziej znanym jej okresem jest epoka oświecenia,

najbardziej znanymi jej przedstawicielami - Voltaire, Bayle i francuscy *philosophes*. Wymieniali w niej idee i tysiące listów Malebranche, Locke, Netwon, Gassendi, Kartezjusz, Pascal ... i oczywiście Spinoza. Współpraca ta odbywała się w dużej mierze przez korespondencję. Wspólnym językiem była łacina, ale też w dużej mierze francuski, a także włoski - i holenderski. Holandia była konkretną, nie tylko metafizyczną, oazą wolności słowa i tolerancji religijnej; Spinoza był jednym z bardzo wielu, których przygarnęła. Była ponadto, od XVI wieku, niezmiernie ważnym ośrodkiem drukowanych książek. W tej szeroko rozumianej Republice listów uczestniczyli Żydzi (i nie tylko wyklęty z gminy żydowskiej Spinoza); na przykład Menasseh ben Izrael, przyjaciel Rembrandta, który w połowie XVII wieku założył w Amsterdamie pierwszą hebrajską drukarnię. Wcześniej, jeszcze w średniowieczu, chrześcijańscy uczeni zaczęli się interesować studiami hebraistycznymi i kabbalą; wymiany na tematy teologiczne i biblijne między żydowskimi i chrześcijańskimi uczonymi ożywiły się na początku XV wieku, z przybyciem żydów uciekających z Hiszpanii i Portugalii do Włoch i Holandii, i rozkwitły podczas Renesansu. Pico della Mirandola uczył się hebrajskiego między innymi u rabinów; w połowie XV wieku spędził kilka lat na uniwersytecie Padwie w towarzystwie swojego przyjaciela - jednego z pierwszych swoich nauczycieli hebrajskiego - Elijahu del Medigo, lekarza z Krety. Przetrwała obfita korespondencja między nimi.

Oto prawdziwa otwartość, tolerancja; oto różnorodność, co się zowie. Frazesy o otwartości, tolerancji, różnorodności i multikulturalizmie, jakimi bezustannie nas raczą propagandziści błogosławieństw Unii Europejskiej, brzmią szczególnie żałośnie i obłudnie, gdy przypominamy sobie tę epokę światłości Europy. Republika listów, w szerokim znaczeniu, to znaczy epoka zaczynająca się jeszcze podczas

Renesansu, choć wtedy jeszcze nie była tak nazywana, jest chyba tym właśnie modelem Europy, o którym myślimy, gdy zastanawiamy się nad tożsamością europejską.

No dobrze, ale - mógłby ktoś wysunąć obiekcję - w końcu idea tej republiki istniała jedynie dla wąskiego kręgu uczonych elit, i poza nią ani wolność słowa, ani szacunek dla prawdy i nauki nie rzucały się wtedy szczególnie w oczy. Trudno temu zaprzeczyć; wolno wątpić, że wśród normalnych ludzi kwitła świadomość znaczenia Europy jako idei - pokrywającej się ale nie całkiem tożsamej z zachodnią cywilizacją - ani przynależności do Europejskiej wspólnoty. W tym właśnie sensie można by, owszem, argumentować, że tożsamość europejska była czymś w najlepszym przypadku bardzo krótkotrwałym albo zgoła chimerycznym.

Ale wcześniej jeszcze niż Republika Listów, bo już od końca XI wieku, zaczęły powstawać uniwersytety, które też w kształtowaniu świadomości i tożsamości europejskiej odgrywały swoją cichą ale niezmiernie ważną rolę: Bologna i Oxford, Sorbona i Padwa, Salamanca i Kraków. Czyżby ich rola też była chimerą? Cała intelektualna historia Europy temu przeczy. Mamy świadomość, że coś straciliśmy: na uniwersytetach, a nawet na tym najwyższym poziomie, w wyrafinowanym świecie europejskich uczonych, świadomość tej europejskiej tożsamości, tak ściśle połączonej z przywiązaniem do pewnych uniwersalnych wartości, do szacunku dla prawdy, nauki i wolności słowa, do swobodnej, demokratycznej wymiany idei, już nie istnieje. Więc jednak było kiedyś coś, czego już nie ma. Nawet na tym najwyższym poziomie coś się popsuło. Popsuło się też na uniwersytetach.

Dziś na uniwersytetach europejskich - i amerykańskich - nauka jest upolityczniona i wolność słowa jest zwalczana. Kultura i cywilizacja zachodnia jest potępiana jako rasistowska, elitarna, mizoginiczna, ksenofobiczna, homofobiczna, faszystowska itd.. Uniwersytety, europejskie i amerykańskie, stały się instytucjami do uprawiania inżynierii społecznej i siedliskami lewackiej indoktrynacji; stały się źródłem zagrożenia dla naszej kultury (w mierze, w jakiej taka jeszcze istnieje) zamiast miejscem, w którym się ją krzewi, chroni i przekazuje kolejnym pokoleniom. Ideologia, jaka panuje obecnie na zachodnich uniwersytetach, odznacza się nienawiścią do chrześcijaństwa i do zachodniej kultury; do wolności, demokracji i liberalizmu (w najszerszym tego słowa znaczeniu); do odpowiedzialności, do nauki, do niezależnego myślenia; do prawdy i do wartości, które leżą u korzeni naszej cywilizacji i są jej podstawą. Niewiele się różni od tej, która panowała na nich w latach 60. XX wieku - z tą różnicą, że podczas gdy wtedy studenci buntowali się przeciwko autorytetom i domagali się wolności, teraz domagają się cenzury i ingerencji państwa i władz uniwersyteckich - między innymi w formie gwarancji, że ich szalona wrażliwość nie zostanie "obrażona" (bo słuchanie opinii, z którymi mogliby się nie zgadzać, może być dla nich traumatycznym przeżyciem), że ich przepiśczone mózgi nie będą zmuszone do niezależnego myślenia, i że uniwersytet wyda bardzo dużo pieniędzy na wydziały, które będą wspierać ich ideologię i grupową tożsamość - wydziały typu *gender studies*. Domagają się „bezpiecznych przestrzeni” dla swoich nieprzemyślanych przekonań - co oznacza między innymi prawo do wetowania zaproszeń dla wykładowców, którzy im się nie podobają. Gdy ja studiowałam w Ameryce, bezpieczna przestrzeń to było miejsce, w którym można było być względnie pewnym, że nie zostanie się napadniętym przez narkomana z pistoletem. W świecie poza uniwersytetem rzeczy mają się niewiele lepiej. Większość z nas w

naturalny sposób odnajduje się w dowolnym europejskim mieście; siadamy w kawiarni w Rzymie, Madrycie czy w Paryżu i czujemy się w domu. To nie jest bez znaczenia; siedzenie w kawiarniach jest ważną częścią europejskiej kultury. Jest nią też dobra kawa. Ale obawiam się, że przywiązanie do dobrej kawy i siedzenia w kawiarniach niestety chyba nie wystarczy jako podstawa tożsamości. Pseudo-europejska pseudo-tożsamość, do jakiej chciałaby nas przekonać, a raczej którą stara się nam narzucać, Unia Europejska, jest całkowicie pusta i z prawdziwą Europą, jej historią i autentycznymi wartościami nic nie ma wspólnego. W Unii Europejskiej nie ma miejsca na żadne wartości, żadne tradycje, żadną pamięć historyczną; nie ma tam nic, co mogłoby wytworzyć jakąś prawdziwą wspólną tożsamość Europejczyków. Jest raczej niszczycielska negacja tych rzeczy w imię haseł o otwartości, tolerancji, różnorodności i multikulturalizmie. Na tym cały zamysł polega: oczyścić pole i konsekwentnie niszczyć pamięć o prawdziwej Europie i wszelkie przejawy poczucia przynależności do niej, by została tylko Unia, pod egidą której mamy otwarcie, różnorodnie (ale tylko w słuszny, przez Unię zadekretowany sposób) i tolerancyjnie (ale tylko dla niektórych) się jednoczyć. Z napływem milionów imigrantów z Bliskiego Wschodu różnorodności będziemy niedługo mieli, co się zowie - choć i teraz mamy jej całkiem pod dostatkiem. Można podejrzewać, że Bruksela także z tego powodu naciska na państwa europejskie, by przyjmowały imigrantów: rozwodni to, na homeopatyczną skalę, te nędzne szczątki europejskiej tożsamości, jakie nam jeszcze zostały. W każdym razie krótkowzrocznym i przyzwyczajonym do swoich wygodnych posad aparaczykom brukselskim jest to w pewnym sensie na rękę; przynajmniej tak sobie wyobrażają. Skutki mogą jednak być odwrotne - jak zresztą w niektórych krajach już widać. Jedyne nadzieje, że wskutek tego, i może też dzięki ewentualnemu Brexitowi, nie państwa narodowe się rozpadną, tylko Unia. (W taki właśnie sposób Brexit mógłby, na pozór

paradoksalnie, wzmocnić europejską tożsamość.) Ale, jak mawiają Anglicy, nie wstrzymujmy oddechu, czekając na to. Ani, niestety, na Brexit - choć tu jest jeszcze iskra nadziei.

Dla Unii przeszłość jest czymś, od czego należy czym prędzej się oderwać, nigdy czymś, z czego moglibyśmy czerpać. Należy też czym prędzej oderwać się od niebezpiecznej idei państw narodowych, by w harmonijnej różnorodności razem kroczyć w świetlaną przyszłość. Oto typowa dla nowej ideologii pseudo-Europy znaleziona w internecie wypowiedź studentki w programie Erazma, która wymownie o tym świadczy: "Dla mnie Europa to otwartość i tolerancja. Wszystko wydaje się możliwe, i młodzi ludzie chcą się uczyć o innych krajach i innych kulturach." Trudno takie wypowiedzi postrzegać inaczej, niż jako skutek prania mózgow porównywalnego z tym, jakie odbywa się dziś na naszych uniwersytetach. Otwartość, tolerancja - nic nieznaczące frazesy, niczym nie podparte, w niczym nie zakorzenione, wywodzące się z pustki i w pustkę wpadające. Dość daleko tu, mówiąc ogólnie, do napisanego ponad pół tysiąclecia temu *oratio de hominis dignitate*. Pico della Mirandola i Erazm przewracają się w grobach.

Cokolwiek chcieliby na gruzach idei Europy - tej prawdziwej - wybudować unijni ideolodzy nowoczesności, nie przetrwa, ponieważ ta unijna *pseudo-Europe* czy *Europa-lite* nie ma żadnej treści - nie mówiąc o fundamentach i zakorzenieniu w jakiegokolwiek historycznej rzeczywistości. Lecz jest bardzo wątpliwe, czy na tych gruzach uda się odbudować to, co kiedyś było. Na razie jedną z najważniejszych i najskuteczniejszych broni w walce z nimi jest - powtarzam to niestrudzenie po raz enty - przypominanie o biblijnych korzeniach naszej kultury. Innymi słowy, nauka Biblii w szkole. Nie nauka katechizmu, która byłaby ograniczona do Katolików, ani też nauka o

wszystkich religiach świata, jaką się uprawia np. w Anglii, z takim skutkiem, że dzieci nie odróżniają Wielkanocy od Bożego Narodzenia ani Islamu od Judaizmu, lecz po prostu czytanie Biblii. Dla chrześcijan i żydów, dla wierzących i niewierzących, Biblia, a zwłaszcza Biblia hebrajska, pozostaje największym dziełem zachodniej literatury. To właśnie kulturalne i literackie znaczenie Biblii jest – z perspektywy niewierzącego – tym najgłębszym z fundamentów naszego wspólnego judeochrześcijańskiego domu. Sądzę, że tylko na podstawie tej tradycji można się starać ideę Europy i tożsamość europejską odbudować.